

Toronto, dnia 29 września 2006 r.

Fr Jan Sadowski, OMI
156 Roncesvalles Avenue
TORONTO, ON
Canada M6R 2L4
E-mail: omijans@hotmail.com
<http://www.katecheza.info/dzieci>
<http://www.allday.at/misje>

Z Kanady po raz czterdziesty

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Maryja Niepokalana!

Tym razem mam wiele dobrych wiadomości. Rozpocznę od wielkiego złotego jubileuszu naszej Prowincji Misjonarzy Oblatów Maryi Niepokalanej pod wezwaniem Matki Bożej Wniebowziętej w Kanadzie. Przygotowania trwały ponad rok. Został wydany kalendarz, w którym każdego miesiąca można się przyglądać zdjęciom miejsca i osobom pracującym w dziełach prowadzonych przez Ojców i Braci polskiej prowincji w Kanadzie. W maju ukazała się książka zawierająca historię o Prowincji i krótki życiorys każdego żyjącego i zmarłego Oblata. Wydana na dobrym, kredowym papierze jest ciężka i trudno ją przesyłać przez pocztę.

Uroczystości miały miejsce w czerwcu. Około stu osób brało udział w pięciodniowym Kongresie. Uczestniczyli przedstawiciele każdej polskiej parafii. Przybyło kilku biskupów, był obecny przełożony generalny naszego Zgromadzenia, Prowincjałowie z Polski, Kanady (prowincja języka francuskiego i angielskiego), przełożeni Dystryktów z Kamerunu, Madagaskaru i Francji... Każdego dnia wieczorem była Msza Święta w innej polskiej parafii. Do Świętego Kazimierza w dwóch autokarach uczestnicy przybyli w środę, dnia 14. czerwca. Była to niezwykła Msza Święta, ponieważ Święcenia Kapłańskie otrzymał nasz parafianin, ojciec Piotr. Po Mszy Świętej spotkaliśmy się na sali parafialnej w wspólnej kolacji. Zespół „Biały Orzeł” w polskich strojach ludowych zaprezentował tańce i śpiewy, oczywiście, w języku polskim.

Wkrótce (w styczniu 2007) spodziewamy się ponownie takiej uroczystości, ale tym razem w największej polonijnej parafii pod wezwaniem Świętego Maksymiliana Kolbe (10 tysięcy rodzin). Z tamtej parafii pochodzi, ale po ukończeniu studiów teologicznych w Ottawie mieszka z nami, diakon Paweł, też oblat Maryi Niepokalanej. Pomaga nam w parafii, jeden dzień w tygodniu pracuje w Katolickim Studio Młodych, a dwa razy w miesiącu prowadzi akcję powołaniową w polskich parafiach. Bez nowych kandydatów do Kapłaństwa byłoby trudno myśleć o pracy duszpasterskiej wśród Polonii.

W czerwcu świat żył piłką nożną. Mistrzostwa świata pokrzyżowały poważnie plany pewnym nowożeńcom. Ojciec Pani Młodej zmarł kilka dni przed ślubem. Dostał ataku serca, kiedy polska drużyna przegrała 0:2 w pierwszym meczu. Wesele i ślub odłożono.

W tym roku otrzymałem kilka zaproszeń do uczestniczenia w liturgii Sakramentu Małżeństwa i w weselach. W jednym przyjęciu nawet uczestniczyłem i stwierdziłem że na takie przyjemności jestem już za stary. Nie miałem daleko. Wystarczyło przejść przez drzwi i zejść z pięciu stopni. Wesele odbywało się na sali parafialnej. Poznałem tutejsze zwyczaje. Kiedy mniej ważni goście siedzieli za stołem, a muzykanci nastroili instrumenty, uroczyście weszli rodzice Nowożeńców, друзowie, a na końcu szczęśliwi Młodzi. Krótkie życzenia wypowiedział polski góral w języku swoim, a więc nie w polskim. Zaśpiewaliśmy „sto lat” i inne przyspiewki. Potem podano jedzenie. Ja na desery już nie czekałem.

Jedną parę nawet błogosławiłem. Po prostu w parafii nie było innego księdza, który ma rządowe pozwolenie na udzielanie ślubów. Byłem zadowolony z zachowania się w kościele podczas próby, bo tu taki zwyczaj, że młodzi i ich asysta ćwiczą w kościele kroki, odległości, obracanie się, czytanie itp. Jak wywnioskowałem, byli ludźmi wierzącymi. Rodziny nowożeńców także przystąpiły do Spowiedzi, a w czasie samego ślubu widziałem ich modlących się. No, wyjątek był. Jeśli ktoś z orszaku siedzi w kościele w pierwszej ławce i trzyma nogę założoną na drugą, to już pewny znak, że zachować się w miejscu świętym ani modlić się nie potrafi i jest na bakier z wiarą. Ciekawostką były stroje orszaku; wszystkie panny w jednakowych sukienkach, wszyscy kawalerowie w jednakowych garniturach z jednakowymi muszkami i kwiatkami. Odchodzili od ołtarza w przepisowej odległości, co 6-8 metrów za nowożeńcami i jedna para od drugiej. Jeszcze jedna ciekawostka. Do ołtarza przyszedł z rodziną sam pan młody, a dopiero po chwili doszła pani młoda przyprowadzona przez rodziców. Takie zwyczaje są zgodne z duchem posoborowej liturgii

Historię pewnego zaproszenia warto zapisać. Kiedy w kwietniu otrzymałem zaproszenie na ślub znajomych, zacząłem zastanawiać się, jak mam zareagować, ponieważ Polsce będę urlopował w roku przyszłym, a i Państwo Młodzi dobrze wiedzieli, że na ślub i wesele nie przyjadę. Niepotrzebnie więc tracili czas i wydali pieniądze na znaczek, kopertę i kartę zaproszeniową wypisaną złożonymi literami. Nie mogąc sam nic wymyśleć, poprosiłem kilka osób o pomoc. Jednak podczas spaceru ulicami miasta zatrzymałem się przed sklepem z pamiątkami dla nowożeńców i wtedy przypomniałem sobie mamę pewnej Pani Młodej, która w przeddzień ślubu swojej córki powiedziała, że „najtrudniejsze w małżeństwie są pierwsze pięć lat”. Przypomniała mi się też tłumaczona przeze mnie przed 18 laty bajka malgaska, która opowiada o zakochanych, ich przygotowaniach do małżeństwa, ceremoniach zaślubin i wspólnym zamieszkaniu, a pod koniec ma słowa: „odtąd będą oczyszczać swoją miłość”. Zamierzałem więc wysłać kartę przedstawiającą igłę ze złotą nitką do cerowania przecierającej się miłości, albo złoty pędzelek do oczyszczania miłości ciemniejącej. W rozmowie telefonicznej podzieliłem się tymi myślami

z młodszą siostrą narzeczonej. Ja nic nie zrobiłem, bo przy moich zdolnościach do rysunku i charakteru pisma mógłbym tylko wywołać uczucie politowania, ale młodsza siostra Pani Młodej wykorzystwała mój pomysł i w moim imieniu przekazała swoje dzieło: wypukłe czerwone serduszko z wbity igłą, w uszku której tkwił złoty sznureczek. Sam ciekawy jestem, jak to wyglądało.

Takie prezenty najchętniej dałbym wszystkim katolickim Małżonkom. Nie tylko najmłodszym. A przy okazji przypominę doświadczenie życiowe bardzo licznych małżonków. Narzeczeństwo, to okres snucia marzeń, a małżeństwo, to okres spłaty rachunków za te marzenia. Kiedyś francuska telewizja nadawała program z cyklu „Małżeństwo doskonałe”. Dwa konkursy były godne refleksji. W jednym z konkursów zwyciężyli małżonkowie, którzy wytrzymali ze sobą ponad 40 lat. Znali się tak doskonale, że nawet na pytanie, co mąż najchętniej pije, powiedzieli jednakowo i dokładnie (sok, z jakiego owocu, jaką ilość, kiedy najchętniej...) Dobrze się znali nawzajem. W innym konkursie żony zostały przykryte kocami, spod których wystawały tylko stopy. Zadanie polegało na tym, aby każdy z ośmiu mężów położył się na kocu obok swojej żony. Przy jednej pani położyło się dwóch. Jeden z nich nie rozpoznał swej żony po stopach.

Tydzień po udzieleniu Sakramentu Bierzmowania zadzwonił do biura parafialnego ojciec pewnego chłopca, który żądał unieważnienia Sakramentu Bierzmowania swego syna. Przecież „Małżeństwo w Kościele jest unieważniane, wiem z doświadczenia”. Jest rozwodnikiem, o stwierdzenie nieważności swego małżeństwa nie stara się. Ze swoim synem widuje się rzadko, dwa razy w miesiącu. Dowiedział się, że świadkiem Bierzmowania był jego wróg, a przyjaciel matki chłopca. Oczywiście, nic już nie da się zrobić. Oczekiwał spełnienia swego żądania. Zapytałem o przyczynę rozbicia się rodziny. Zrozumiał, że powodem były pieniądze. Chciał jak najwięcej zarobić. Pracował dużo, zbyt dużo. Pieniądze zarabiał, zaniedbał rodzinę. Wreszcie stwierdził, że rodzina się rozsypuje. Żona odeszła. On też związał się z inną kobietą, chociaż nie od razu. Pomimo początkowego rozgoryczenia na Kościół, że prawo jest niesprawiedliwe, jego syn ma niegodnego świadka Bierzmowania, doszliśmy właśnie do takiego wniosku, że w Kanadzie wiele rodzin rozpada się wskutek pogoni za pieniądzem. W przeciwnym wypadku, gdyby nie uznał swego błędu, byłem gotowy udzielić mu innej pomocy: opłacić wizytę u psychologa...

W maju zostałem poproszony do biura parafialnego, aby porozmawiać z parafianinem. Lat 55. Przyszedł do mnie, chociaż zna mnie tylko z kazań, konfesjonału i ołtarza, aby powiedzieć mi z wielką radością, że godzinę wcześniej od lekarza otrzymał wynik badania. Ma raka. Będą go leczyć. Czy skutecznie, tego nie wie. Lekarze mu nie powiedzieli, jak długo będzie żył. Ma tylko jeden problem. Jak to powiedzieć rodzinie, aby nikt nie próbował niszczyć jego szczęścia. Czy możecie zrozumieć takiego człowieka, który potrafi radować się z tego, co dla innych samo podejrzenie czy skierowanie na badania jest tragedią?

Przed kilku laty opowiadano mi, jak wiadomość o raku przyjęła pięćdziesięcioletnia kobieta. Postanowiła wydać połowę pieniędzy z konta (przecież druga połowa należała do męża) na podróż dookoła świata w ciągu dwóch lat. Wszystko notowała i wydała opis podróży w książce. I umarła. Mąż – wdowiec - twierdził, że przed śmiercią popełniła jeden poważny błąd. Wyzaczyła sobie zbyt krótki czas do życia. Dlaczego nie pragnęła zrobić jeszcze czegoś więcej?

Jednym z pierwszych w Kanadzie, któremu udzieliłem Ostatnich Sakramentów, był chory na raka, któremu lekarze "zyczili" 6 tygodni życia. Pojechał do Polski pożegnać się z rodzicami, zbyt słabymi, aby oni mogli przylecieć do Kanady. Przeżył cztery i pół roku. Trzy dni przed śmiercią rozmawiałem z nim przez telefon. Dziękował Panu Bogu za te lata między innymi z tego powodu, że mógł się zająć wychowaniem synka. Obecnie syn jest jednym z najgorliwszych ministrantów. Chory dobrze wykorzystał czas

Ale są też zdarzenia pozytywne. Na przykład. Nieraz zastanawiam się, czy warto głosić kazania. Co z tego mają moi słuchacze?

W wakacje odwiedziła mnie pewna rodzina z Ottawy. Powiedzieli mi, że dzięki pewnemu mojemu kazaniu zrozumieli, dlaczego w Kanadzie obchodzi się urodziny, a nie imieniny? Już zapomniałem o tym, że przed kilku laty mówiłem, że ewangelicy zwani także protestantami czy luteranami nie czczą świętych. Marcin Luter zwątpił w możliwość uświęcenia się człowieka. Stąd nie ma kultu świętych i pozostaje obchodzić rocznicę urodzin. Kanada jest krajem protestanckim, nawet Wielki Piątek jest tu dniem wolnym od pracy, więc obchodzi się urodziny, tak samo w Polsce na terenach o większości wyznawców religii ewangelickiej. Katolicy obchodzą imieniny, czyli dzień Patrona, człowieka, którego Kościół ogłosił świętym. Jest on bliżej Pana Boga, więc my możemy prosić naszego Patrona o wstawiennictwo u Boga, uroczystej obchodzić dzień jemu poświęcony i naśladować jego życie czy tylko jeden z aspektów wiary. Bo czasami trudno byłoby wszystko robić tak, jak Patron. Na przykład, ja musiałbym się ubierać w skórę wielbłądzia i zajadać się szarańczą, co zupełnie mi nie odpowiada. Po takim wyjaśnieniu zachęciłem, aby dzień imienin katolickie rodziny obchodziły w rodzinie. Po wysłuchaniu Mszy Świętej, po Spowiedzi i Komunii Świętej w domu przy stole gromadzi się rodzina, aby porozmawiać bez gości. Gości zaproszą na urodziny. Przy tej okazji wspominałem, że Polacy mają wielu wielkich świętych. Szkoda, że nie wszyscy wybierają dla swoich dzieci Patronów polskich. Szkoda, że nie wszyscy zapoznają się z życiorysem swego Patrona. Ja przynajmniej wspominam o tym podczas przygotowania do Sakramentu Bierzmowania.

Na początku czerwca, kiedy polskie dzieci jeszcze nie wyjechały na wakacje do Polski, pojechaliśmy do Midland z grupą najgorliwszych ministrantów i ministrantek. Była to trzydziestka młodych i pięcioro starszych oraz nas trzech duchownych. Autobus szkolny nie ma wygodnych siedzeń, nie ma też mikrofonu i głośników, ale

ma tę zaletę, że kierowcy innych pojazdów uważają nań w obawie kar. Od 6 lat za przejechanie obok takiego stojącego autobusu z pulsującymi światłami kierowca może zapłacić nawet 5 tysięcy dolarów. Dojechawszy do Sanktuarium Męczenników Kanadyjskich oprawiłem Mszę Świętą przy polskim ołtarzu Matki Boskiej Częstochowskiej, ostatnio odnowionym (obraz – mozaika). Niestety, nie udało mi się zapalić świeczek z powodu wiatru. Kazania nie mówiłem. I tak nikt by nie słuchał. Po Mszy Świętej obejrzelśmy krzyże i ołtarze różnych narodowości. Na łączce obok ołtarza papieskiego było 10 minut gry w piłkę nożną. Niestety, nie mogliśmy obejrzeć samego kościoła, bez przerwy były nabożeństwa dla pielgrzymów, przede wszystkim młodych. To cieszy. Po odmówieniu modlitwy *Anioł Pański* przy figurze świętego Józefa stojącego wśród fontann przejechaliśmy do wioski indiańskiej, ale rozpoczęliśmy od obiadu. Bardzo miły kierownik restauracji wprowadził nas do metalowych stolików pod zadaszeniem, gdzie mowy bez żadnego respektu porywały jedzenie z talerzy, więc trzeba było pilnować. Potem poszliśmy do kina, aby obejrzeć historię tej wioski. Po kilkuminutowym filmie ekran uniósł się w górę i znaleźliśmy się przed bramą wejściową. W 1640 roku francuscy jezuici rozpoczęli budowę wioski podzieloną na trzy części oddzielone wysokim (3-4 metry) płotem. W części pierwszej mieszkali jezuici. Był kościół, kuźnia, stolarnia, obora (z żywymi krówkami), były kurki, ogród warzywny... W części mieszkalnej każdy z misjonarzy miał maleńki pokój z małym łóżkiem, jedynie przełożony miał stół i kilka książek – obecnie zrobione z deseczki odpowiednio ukształtowanej. W drugiej części mieszkali chrześcijanie. Mieli swój kościół poświęcony świętemu Józefowi. W tym kościele został pochowany św. Jan Brebeuf zamordowany w 1646 roku, a obok kościoła na cmentarzyku 22 krzyże nagrobne. Znany ze swojej świętości i odwagi Jan Brebeuf nawrócił ponad siedem tysięcy Indian. Napisał słownik i katechizm w języku plemienia Huron. Oczywiście, groby i krzyże są, jak dawniej, ale doczesne szczątki tam pochowanych są przeniesione do pobliskiego kościoła. Jest też dom, w którym leczono chorych, mały ogródek z ziołami używanymi w XVII wieku. Tu można było napić się trzech rodzajów leczniczego naparu. Jest dom zebrań, w którym Indianie palili fajki przy ognisku. Jeden dom i dwa wigwamy są zrobione z kory drzew. Trzecia część była przeznaczona dla niechrześcijan, ale i ci mieli tu dom, w którym mogli mieszkać. Niestety, w 1649 roku jezuici ratowali się ucieczką. Chrześcijańscy Huroni zostali zdziesiątkowani przez Irokesów, którzy z nienacka napadli na ich wioski. Dziwiło mnie, że misjonarze spalili swoje dzieło, wioskę Matki Boże Hurońskiej, bo tak nazwali swoją siedzibę. Zrozumiałem ich, chociaż nie bez trudu. Po prostu nie mieli czasu na ewakuację, a nie chcieli, aby rzeczy święte, zwłaszcza wyposażenie kościołów, uległy profanacji. Co czuli patrząc na ogień trawiący ich prawie dziesięcioletni wysiłek? Misjonarze przenieśli się do Montrealu (rzeką 800 mil). Wraz z nimi pojechała Kateri Tekakwita, pierwsza błogosławiona wśród Indian amerykańskich. Jedną z przyczyn wojny była epidemia wśród Irokesów, którzy oskarżyli misjonarzy o przywiezienie choroby z Europy. Może mieli podstawy tak sądzić? Nie byli odporni na bakterie z Europy? Dlaczego nie chorowali Huroni, którzy jako chrześcijanie mieszkali bliżej misjonarzy?

Przed około 50 laty rząd kanadyjski odbudował tę wioskę. Zwiedzając można zobaczyć Indian w ich tradycyjnych strojach, fotografować do woli, o wszystko pytać, nawet próbować zabaw i gier. My mieliśmy to szczęście, że byliśmy w „dniu indiańskim”, a więc atrakcji było dużo. Mogliśmy oglądać, jak robi się gwoździe, karmi kurki, doi krówki. Były tańce przy ognisku, śpiewy, muzyka, recytacje...

Wracaliśmy w dobrych humorach do domu. To tylko dwie godziny jazdy. A ja, niestety, nie mogłem pochwalić starszych ministrantów. Okazali się bardzo dziecinni w nienajlepszym odcieniu tego słowa. Nie byli liczni, a popsuli atmosferę. Pozwolili sobie usiąść na stołach, na których są stawiane półmiski z jedzeniem. Zrobiłem cztery zdjęcia grupowe i na każdym ktoś dał znak swej głupoty (ośle uszy, rogi, pięść nad głową itp), nawet nie można dołączyć do kroniki. Na miejsce zbiórki przyszli wcześniej. Kupując sobie duże porcje twardych lodów uniemożliwili wejście do muzeum i obejrzenie pamiątek po pobycie w tej wiosce Ojca Świętego Jana Pawła II we wrześniu 1984 roku. A w autobusie byli tak niecierpliwi, że nawet 15 minut przed dojazdem do naszego kościoła wstawali i chodzili, aby być bliżej wyjścia. W autobusie szkolnym kierowcy nie wolno jechać, jeśli ktokolwiek stoi. Był pobłażliwy poza miastem, ale w ruchu miejskim czasami trzeba ostro zahamować – i co wtedy?

Po raz trzeci w tym roku byłem w Midland w poniedziałek, 11 września. Miałem odwiedziny znajomych z Chicago, których zapoznałem przez Internet po dyskusji o używaniu sutanny przez księży. A że 170 km (dwie godziny jazdy) w Kanadzie nie należy do dużych odległości, pojechaliśmy. W wiosce, jak zwykle, uszanowano mnie jako kaptana i wszedłem bez biletu, legalnie. Zwiedzających było niewielu, tym łatwiej było rozmawiać z pracującymi tu Indianami. Niestety, część budynków była niedostępna dla zwiedzających. Niedawno ogień strawił pomieszczenie kuźni, stolarnię i jedną ze ścian kościoła. Zwęglone ściany i dach pozostały, ale przy zetknięciu się ze zwiedzającymi by runęły. Szkoda.

Ostatnio miałem szczęście czy nieszczęście – tego nie wiem, oszczędźcie sami – porozmawiać z młodzieżą na temat pełnoletności. Chłopcy zazwyczaj woleliby być uznanymi za dorosłych jak najszybciej. Dziewczeta mniej o tym myślą, chociaż „osiemnastkę” starannie przygotowują, zwłaszcza w domu. Rodzice pewnego ministranta poprosili mnie, abym podczas Mszy Świętej poświęcił łańcuszek z krzyżykiem specjalnie dla niego kupionym i dał mu przy ołtarzu po Mszy Świętej odprawionej w jego intencji, a zamówionej już 9 miesięcy wcześniej. Rodzicom zależało na tym, aby podkreślić łączność ich rodzinnego święta z Bogiem w świątyni parafialnej. Inny z młodzieńców na zaproszeniu napisał prośbę o modlitwę w jego intencji. A co powiecie o takim, który w tym dniu powiedział swoim rodzicom, że teraz już nie muszą się martwić, bo w razie wyrządzonej przez niego szkody

nie będą po sądach ciągni, tylko on sam? Kiedyś podczas kolędy osiemnastolatka powiedziała mi, że w tym dniu przeraziła się właśnie odpowiedzialności za swoje postępowanie. Do tej pory za jej postępowanie odpowiadali rodzice, ona miała obowiązek tylko słuchać i stwierdziła, że na tym dobrze wychodziła. W bogatej rodzinie rodzice w prezencie synowi dali sportowy samochód i po trzech dniach pojazd sprzedali, bo syn został zatrzymany przez policję za wjazd na autostradę z szybkością 210 km/godzinę, gdy w Kanadzie szybkość maksymalna na autostradzie jest dozwolona do 100 km/godz. Ja jednak uważam, że skoro jest takie prawo, przestępcą jest sprzedawca i producent, skoro sprzedaje pojazd niedostosowany do kanadyjskiego prawa. Przecież w Europie są autokary z komputerem odcinającym dopływ paliwa, gdy pojazd osiąga 103 km/godz. Mądry producent, mądry samochód. Takich pochwalam. Podsumowując, za dorosłego ja uważam tego, kto świadomie przejmuje odpowiedzialność za swoje życie, a jednym ze znaków jest przekonanie, że rodzice mają rację, ponieważ mają doświadczenie życiowe, czyli wiedzą, co jest dobre i co złe. Korzystanie z tego doświadczenia jest znakiem mądrości. Jeśli młody/młoda uzna, że nie zawsze rodzice mają rację, to ja takich nazywam przemądrzałymi, do bycia mądrymi jeszcze im daleko. Przekonają się sami. „Uczymy się na błędach”. Wolę jednak, aby uczyć się na błędach cudzych, nie własnych. A jeśli ja słyszę „odpowiadam za swoje postępowanie”, to zawsze dodaję pytanie: „przed kim”? Jeśli boimy się tylko ludzi, to za mało. Przed ludźmi można udawać dobrego, można nie dać się „złapać”, chociaż to też bywa tylko do czasu.

Przez cały miesiąc sierpień uprzyjemniał mi życie misjonarz z Madagaskaru. Obecnie pracuje na misji, do której ja przybyłem 25 lat temu, a że przywiózł dużo zdjęć, mogę stwierdzić, że postęp jest widoczny. Drzewa i krzewy urosły, jest więcej zieleni, a w pokojach nowe, piękne meble, zrobione w misyjnym centrum kształcenia stolarzy. To cieszy. Jest nawet lotnisko w pobliżu misji, chociaż droga samochodowa zarosła i tylko motorem można dojechać. Można też korzystać z radiotelefonu, tego za moich czasów nie było. I liczba wspólnot katolickich też wzrosła do 190, było 60 w 1981 i 90 w 1985 roku. Na misji pracuje dwóch oblatów z Polski i dwóch oblatów malgasy. Gdy ja opuszczałem Madagaskar, byli w seminarium na pierwszym roku. Ojciec Krzysztof zostawił mi pamiętkę - swój brewiarz w języku francuskim. Ja miałem taki sam i korzystam ze swojego w czasie podróży, a także w konfesjonale. Mój wyglądał, jak nowy, ten misjonarza dość zniszczony, bo kiedyś jego bagaż znalazł się w wodzie niezbyt czystej. Należało się zamienić. Przy pakowaniu zostałem obdarowany przez niego też kilkoma książkami. Cenne, otrzymał od tutejszych parafian, ale nie miał już miejsca w walizce. Po naradzie z sobą samym postanowiłem wysłać mu jedną książkę w miesiącu, dopóki nie pozbędę się wszystkich. Oczywiście, po przeczytaniu.

Przed Uroczystością Wniebowzięcia Matki Bożej przez 6 dni, od poniedziałku do soboty, idą pielgrzymi. Wychodzi z polskiej parafii w Mississauga około 300 osób, ale po drodze inni dołączają się, tak że w niedzielę przed Mszą Świętą na plac w Sanktuarium Męczenników Kanadyjskich wchodzi zazwyczaj około siedmiuset pielgrzymów, nie tylko Polaków. Inni przyjeżdżają samochodami i autokarami. W tym roku podczas Mszy Świętej na placu było około 10 tysięcy ludzi, czyli trzy tysiące więcej, niż przed rokiem. Ale ja pozostałem w Toronto, ponieważ i tu były odprawiane Msze Święte, jak w każdą niedzielę, a nas w parafii było dwóch księży, a Mszy Świętych pięć. Teraz, po wakacjach, jest jeszcze jedna, szósta Msza Święta, gdyż o tej samej godzinie 9,45 po angielsku modlą się w kościele, a po polsku na sali parafialnej. Zgodnie z regulaminem w oblackiej prowincji Wniebowzięcia Matki Bożej w Kanadzie, w każdej polskiej parafii jest odprawiana jedna Msza Święta po angielsku. I zdarza się, że Polacy przystępujący wówczas do konfesjonatu nie są zdolni niczego ani powiedzieć, ani zrozumieć po polsku. To pora nie dla mnie, abym wchodził do konfesjonatu i narażał chcących się wyspowiadać, a zmuszonych do odejścia. Ja przed 7 laty zaprzestałem próby nauczania się angielskiego, pozostała mi znajomość jednego zdania, którego nauczyłem się na pamięć jeszcze przed przybyciem do Kanady: „I dont speak English”. Mądre, praktyczne zdanie.

I jeszcze jedna akcja parafialna. Po raz pierwszy w tym roku parafia urządziła „Oazę dzieci Bożych”, nazwaną także „Wakacjami z Bogiem”. Do harcerskiego ośrodka na kanadyjskich Kaszubach pojechało prawie trzydzieści młodych osób i kilkoro dorosłych. Ja zostałem w domu, bo „ktoś musiał”. Jedyne sfotografowałem wyjeżdżających i przyjeżdżających. Dano mi też trochę zdjęć do mojego komputera i niektóre wydrukowałem. Dzieci były zadowolone, a rodzice powiedzieli, że ich pociechy trudno było rozpoznać. Nie dlatego, że były brudne, ale grzeczniejsze. Już przy wyjmowaniu swoich bagaży mówiły, że na przyszły rok też pojadą, chociaż muszą skrócić wakacyjny pobyt w Polsce. To duży dylemat, zwłaszcza gdy babcia z dziadkiem mieszkają w Polsce, a rodzice w Kanadzie. Pisząc te zdania zastanawiam się, jak można powrócić z wakacji brudnym, skoro przez prawie dwa tygodnie dzieci żyły nad jeziorem i codziennie był czas przeznaczony na wejście do wody? Woda w jeziorze też jest czysta, więc jak czysta woda może zabrudzić kąpiących się? Ale oprócz kąpieli i zabaw była modlitwa, Msza Święta z ołtarzem wśród drzew, katecheza i... „zielona noc”. Niektóre dzieci powróciły pomalowane na twarzy. Tłumaczyły, że nie mogły zmyć farby z policzków, ale po dokładniejszym wypyтaniu okazało się, że w nocy nikt ich nie malował, pomazały się jakimś szarym błotem przed wejściem do autobusu, a nawet podczas jazdy. Pokazać swe szczęście oczekującym rodzicom

I na tym dziś kończę. Dodam tylko, że o wylocie na tygodniowy urlop do Edmonton poinformuję w następnym liście. Tam spędziłem tegoroczny, tygodniowy urlop.

*Z serdecznym pozdrowieniem
W Chrystusie i Maryi Niepokalanej
O. Jan Sadowski, OMI*